

Poczem, udając, że nie rozumie odpowiedzi pana Ducroc, zapytał:

— Jakież to sprawy, jeśli wolno wiedzieć?

— Czy może mi pan wyjaśnić, co znaczą te słowa, wypowiedziane do pana przez jego kochankę w dwu różnych okolicznościach: „Pan mnie nie przestraszy swemi oczyma, pan wie, że nie ma pan nademną władzy i nie potrafi mnie pan zahypnotyzować, jak innych”. Dalej, jaka to była tajemnica, której wyjawieniem groziła panu panna de Valoys? Proszę nam to wyjaśnić.

— Owszem, mogę to uczynić teraz, kiedy nie mam nic do stracenia. A więc przyznaję z wielkim wstydem, że nie byłem gentlemanem, za którego dotąd uchodziłem w świecie paryskim. Pewnej nocy w jakiejś jaskini gry, gdy groziła mi wielka przegrana, złapano mnie na używaniu fałszywych kart. Sprawa została zatuszowana, dzięki temu, że zapłaciłem za milczenie kolosalne sumy.

— Sprawa karciana! — rzekł pan Ducroc, rzucając szybkie spojrzenie na sędziego śledczego, biorąc go w ten sposób na świadka, że oświadczenie doktora nie zgadzało się z zeznaniami jego kochanki.

Poczem dodał, uszczęśliwiony tą sprzecznością:

— I to wszystko?

— Nie — odparł smutnym głosem Vanesco, który dojrzał porozumiewawcze spojrzenie szefa bezpieczeństwa. — Nie — powiedziałem panom, że są liczne tajemnice. Co do innych, były to pewne operacje chirurgiczne, niedozwolone prawnie, z których parę skończyło się śmiercią.

— Niech pan będzie ścisły.

— Nie — odparł stanowczo Vanesco — nie chcę nikogo kompromitować.

— Doskonale. Muszę jednak uprzedzić pana, że mamy w ręku korespondencję pana z Lianą de Valoys i tam znajdziemy nazwiska.

— Niech tak będzie. W każdym razie ja tajemnicy fachowej nie zdradzę.

Pan Ducroc chciał zakończyć badanie, w którym został pobity na głowę na własnym terenie. Rzekł więc głosem, w którym wbrew jego woli brzmiało rozczarowanie.

— Dosyć na dzisiaj. Dziękuję panu. Straż — odprowadzić oskarżonego do jego celi.

Vanesco skłonił się elegancko z ironicznym uśmiechem na ustach i wyszedł z pokoju.

— Niepodobna było zadrwić sobie z nas z większą bezczelnością — rzekł pan de Charvet, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

— Zobaczmy, kto z tego w końcu zadrwi — odparł szef bezpieczeństwa.

## ROZDZIAŁ XVI.

### Sąd.

Rozprawa sądowa została wyznaczona na październik. Zgłoszenia na karty wstępu wpływały w takiej ilości, że prezydentum sądu nie było w stanie wydać nawet połowy. Cały Paryż chciał być na rozprawie — wszyscy chcieli słyszeć obronę doktora Vanesco i dowiedzieć się szczegółów o Fabrykancie mumii.

Wreszcie upragniony dzień nadszedł. Sala rozpraw sądowych była przepelniona.

Wprowadzić oskarżonego — rozkazał przewodniczący sądu głosem poważnym i zimnym. — Vanesco wszedł, otoczony strażą. Dreszcz przebiegł po obcych na sali. Wszystkie spojrzenia zatrzymały się na oskarżonym. Vanesco jednak, zdając się nie zauważać tego — szedł pewnym krokiem i usiadł spokojnie na swem miejscu. Był nieco bledszy niż zazwyczaj, ale nie okazywał śladu najłżejszego wzruszenia. Usiadłszy, spojrzał przelotnie po sali i poznał siedzących w najbliższych rzędach Barsc'a, reportera i panią Barthés, która zaczerwieniła się i ukryła twarz za wachlarzem ze strusich piór.

— Oskarżony, proszę wstać!

Rozpoczęła się rozprawa o usiłowanie otrucia pani Vanesco. Oskarżony przyznał się do wszystkiego, usiłując jedynie obronić Lianę. Zeznania jednak Justyny Vernon, a zwłaszcza Zuzanny Vanesco, której ukazanie się na sali zrobiło ogromne wrażenie, zgubiły Lianę.

Sąd przeszedł do drugiej sprawy: Czy doktor Vanesco był Fabrykantem mumii?

Rozpoczęto od przesłuchania całego szeregu świadków. Pierwszy zeznał portyer lecznicy Colleta, który przysięgał na wszystkie świętości, że nigdy nie wspominał Sebastyanowi Blanc o nocnych wizytach doktora Vanesco. Dalej zeznawali zapalacz gazu, roznosiciel mleka, doktor Benedix, Leymann, żaden z nich jednak nie powiedział nic, co mogłoby oskarżać doktora Vanesco. Jedynie wszyscy zgadzali się na jedno, że Fabrykant mumii miał rudą brodę.

Jeden z sędziów wstał i rzekł:

— Proponuję zrobienie próby — niech przyniosą rudą perukę i brodę i niech oskarżony je włoży.

Propozycję przyjęto, przyniesiono żądane przedmioty i Vanesco włożył je bez wahania. Ale i to nie pomogło. Żaden ze świadków nie poznał w nim Fabrykanta mumii. Oglądali go na wszystkie strony i jedni twierdzili, że „tamten” był wyższy, inni, że niższy, inni znowu, że tęższy. Vanesco tryumfował, na sali rozległy się oklaski.



— Kto to powiedział? — krzyknęła Liana.

Powstał prokurator i po wygłoszeniu mowy zażądał kary śmierci!

Młody i sławny adwokat Duroy w swej przemowie zbił punkt po punkcie całe oskarżenie. Sędziowie udali się na naradę. Trwała ona z górą dwie godziny. Około północy powrócili do sali. Wszystkie spojrzenia skupiły się na nich, pragnąc odgadnąć wyrok. Ale z twarzy sędziów nie można było wyczytać nic, prócz szalonego zmęczenia rozprawą, która trwała z górą piętnaście godzin.

Nastąpiła głęboka cisza, gdy przewodniczący sądu wystąpił, aby przeczytać rezultat narad.

Liana została uznana współwinną zbrodni usiłowania otrucia, bez okoliczności łagodzących.

Co się tyczy Vanesca, sąd miał rozstrzygnąć dwa pytania.

Pierwsze: Czy Vanesco był winien zbrodni usiłowania otrucia swej żony. Na pytanie to odpowiadano jednogłośnie: Tak, bez okoliczności łagodzących.

Drugie: Czy Vanesco był Fabrykantem mumii? Odpowiedziano ośmiu głosami przeciwko dwunastu: Nie.

Ta ostatnia odpowiedź wywołała szemranie wśród

publiczności, choć można było spodziewać się jej po świetnej obronie pana Duroy.

Na rozkaz przewodniczącego sądu wprowadzono oskarżonych, aby przeczytać wyrok.

Liana została skazana na dziesięć lat więzienia. Usłyszawszy to, krzyknęła rozpaczliwie i upadła bez zmysłów na ręce pilnujących ją żołnierzy, którzy wynieśli ją z sali.

Vanesco zaś był skazany na dożywotnie ciężkie roboty.

Wysłuchał swego wyroku w milczeniu, z twarzą spokojną, trochę bledszą może tylko, niż zazwyczaj.

Gdy przewodniczący sądu oznajmił mu według zwyczaju, iż ma trzy dni do rozporządzenia, gdyby chciał zaprotestować wyrok, odpowiedział:

— Dziękuję panu, lecz nie skorzystam z tego przywileju.

Poczem uklonił się pogardliwie sędziom i całemu tłumowi, który go wczoraj jeszcze ubóstwiał, a dziś przeklinał i wyszedł z sali w towarzystwie pilnujących go strażników.

## ROZDZIAŁ XVII.

### Zbliżająca się śmierć

Cela w centralnym szpitalu więziennym w Sorgues-en-Parisis. Ściany, wysokie na pięć metrów, pokryte warstwą białego, błyszczącego lakieru. Posadzka woskowana cztery metry szerokości na trzy długości. Pośrodku jednej ściany przymocowany do niej na zawiasach mały składany stolik z białego drzewa z przyborami do pisania. Przed nim krzesło, nad nim lampka elektryczna.

We drzwiach celi, — która nie pozostawia do życzenia pod względem czystości i higieny, — znajduje się małe okienko, służące do podawania jedzenia więźniowi; nad niem zaś zrobiono mały otwór, przez który dozorca pilnuje tegoż więźnia.

Światło wchodzi do pokoju przez duże, wysokie okno, zaopatrzone z zewnętrznej strony w kraty, które jedynie przypominają, że jesteśmy w więzieniu.

Przy drugiej ścianie stoi etażerka z ułożonymi na niej przyborami do toalety i żelazne łóżko.

Na łóżku tym leżał człowiek zmieniony nie do poznania. To doktor Vanesco, który zaraz po wyroku rozchorował się tak ciężko, że zamiast do więzienia na wyspie de Ré, przeniesiono go do szpitala.

Ostatniej nocy stan chorego tak się pogorszył, że felczer przypuszczał, że to już koniec.

Wczesnym rankiem przyszedł lekarz więzienny i rzuciwszy okiem na chorego, mruknął:

— Biedaczysko, prędko przestanie już cierpieć!

Vanesco otworzył oczy i odparł szeptem:

— Ach, to pan, doktorze, ma pan słuszość. Złe ze mną, bardzo złe.

Poczem wpatrując się niespokojnie w lekarza zapytał:

— To już koniec, prawda?

Lekarz zaprzeczył ruchem.

— Ach, — rzekł Vanesco, siadając nagle na łóżku — dlaczego pan nie mówi prawdy? Jestem zgubiony, czuję to dobrze. Za często widywałem zbliżającą się śmierć, żeby się mógł pomylić.

— Nigdy nie należy tracić nadziei.

— Nie, nie! Niech mnie pan nie zwodzi! Błagam pana, niech mi pan powie prawdę! Muszę ją znać. Ile dni pozostało mi jeszcze?

Doktor opuścił głowę i milczał, nie będąc w stanie wypowiedzieć wyroku śmierci.

— Ile? — nastawał Vanesco gorączkowo. — Dwa, trzy, cztery?

— Zanim tydzień upłynie, przestanie pan żyć, — odparł doktor głuchym głosem. — A być może, że pan nie przeżyje tej nocy.

(Ciąg dalszy nastąpi).